

Garbaty żywot św. Floriana

6 maja 2008

Niemiecki uczony, Richard Andre, opisując arcykatolicką Bawarię, ostoję ciemnoty religijnej oraz królestwo pijaństwa z początku XX wieku wspomina o wywieszce na pewnym domu w miasteczku Fuessen, która głosiła:

– Dieses Haus stand in Gottes Hand und ist dreimal abgebrannt, und das viertemal ist es wieder aufgebaut und jetzt dem heiligen Florian anvertraut. – (Ten dom był powierzony opiece Boga i trzy razy spłonął, a kiedy po raz czwarty go odbudowano, został powierzony opiece św. Floriana.)

4 maja jest dniem świętego Floriana, patrona strażaków, kominiarzy i hutników. Instalując w niebie tę grubą rybę tamtejszej straży pożarnej, a jednocześnie jako szefa wydziału katolickiego patronatu ds. strażaków i kominiarzy, tudzież radcą apelacyjnym rzeczników obu profesji, byłby może i wyprosił jakieś łaski, gdyby w ogóle istniał! [1]

Jego „pożarowym” konkurentem jest inny męczennik, św. Krzysztof, który za kilka zdrowasiek stawia czoła epidemiom, przeciwstawi się trzęsieniom ziemi, piorunom, pożarom, burzom, nagłej śmierci, oraz okropnościom rewolucji – jak podaje ks. A. Chmielewski.

Życiorys Floriana jest banalny, niczym szczególnym się nie wyróżniający, i podobnie jak inne farmazońskie żywoty katolickich świętych, został wyssany z klerykalnego palca. Jedynym powodem, dla którego w ogóle piszę o tym „świętym”, to fakt, że jest patronem m.in. strażaków, którzy mieli wczoraj swoje zawodowe święto.

Nic nie można powiedzieć o Florianie. Obowiązkowo męczennik, jak nakazują katolickie standardy, obity jak pies za wiarę w Chrystusa i w końcu utopiony. Nic o nim nie wiadomo, a „fakty” z jego życia, są całkowicie wyssane z klerykalnego palca.

Podobno żył w latach ok. 280 – 304. Jego historia sięga czasów cesarza Dioklecjana (284-305), który prześladował chrześcijan. Florian miał zostać aresztowany wraz z innymi żołnierzami i oskarżony o zdradę stanu, jaką była wiara w Chrystusa.

Ponieważ odmówił złożenia ofiary rzymskim bogom, został poddany torturom i 4 maja 304 r. z kamieniem młyńskim u szyi, utopiony w rzece Enns (Aniza) w Austrii.

Austriacki katolik, ale szukający prawdy, Juliusz Strnad, przesiedział w monachijskim „Reichsarchiv” długie miesiące, a wynikiem jego badań było dwutomowe dzieło o św. Florianie, w którym wykazał, że to indywiduum w ogóle nie istniało.

Ale wróć do kościelnej wersji...

Kiedy wydało się, że Florian wyznaje Chrystusa, wielkorządca (wg innych źródeł dowódca Floriana), Akwiliniusz, ze zdumieniem rzekł doń:

– Co ja słyszę! Czyżby to była prawda, jesteś chrześcijaninem?

– Tak – odparł.

– A więc musisz niezwłocznie złożyć ofiarę bogom naszym, bo w przeciwnym razie na okrutne męki cię wydam, a jeżeli to cię nie przywiedzie do spełnienia woli cesarza, śmiercią cię ukarzę! – zawołał Akwiliniusz.

– Ofiary bogom fałszywym, nigdy nie złożę – odpowiedział Florian.

Florek, jak zdecydowana większość chrześcijańskich herosów płci obojga, był masochistą, który z „lubością cierpiał dla Pana” męki. Kiedy za wiarę w Chrystusa oprawcy pałowali go drewnianymi lagami, on w tym czasie sadił gadkę do Pana:

– Boże, Tyś nadzieja moja! Zaprzeć się Ciebie Stwórcy i Odkupiciela mojego nie mogę. Twój jestem żołnierz, niech mnie broni ręka Twoja nie od katów, którzy tylko ciało katować

mogą, o co nie dbam, ale od braku męstwa w poniesieniu mąk za Ciebie. Daj mi mocne serce ku przeniesieniu ich wytrwale, a policz mnie pomiędzy wierne sługi Twoje, którzy przede mną wytrwali aż do śmierci przy wyznawaniu Imienia Twojego i podeptaniu szatana i zdrady jego.

Była to tylko preambuła do Wszechmocnego ogłoszona przez Floriana.

Akwiliniusz chcąc mu dać szansę, zawołał:

– Ofiaruj bogom, a wnet cię uwolnię!

Ale on dumnie odmówił i będąc znowu pod gradem kijów, nawija:

– Mniemasz, że ja dopiero w Chrystusa uwierzyłem i że jest świeży w służbie Jego? Dawno jestem sługą Jego, chociaż wiernie służyć w wojsku cesarskim. Przetoż szatan mocy nade mną mieć nie może Ty także z ciałem moim możesz uczynić co ci się spodoba, ale duszy ani tknąć nie masz władzy, bo nią sam Bóg rządzi. We wszystkim, co się tyczy wojskowej służby, gotów jestem słuchać cię jako mojego zwierzchnika, ale abym się szatanowi kłaniać miał, do tego mnie nigdy nie zniewolisz.

Wielkorządca rozkazał wzmocnić siłę wymowy drewnianych argumentów, a Florian, który nawet nie jęknął z bólu, mówił:

– Na próżno pastwisz się nade mną; możesz jeszcze większy gniew twój i okrucieństwo wyrzucić na moim ciele, a jednak nie wymusisz na mnie tego, czego niegodziwie wymagasz. Możesz nawet rozniecać stos palący się, a ja w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa wejdę w ogień śmiało, lecz ofiar szatanom nie złożę.

Powiada kronika jego garbatego żywota, że na te słowa Akwiliniusz rozkazał, aby żelaznymi hakami porozrywać mu grzbiet, który po chwili stał się jedną wielką raną, a mimo to, Florian „z wesołym obliczem wszystko to znosił i głośno chwalił Chrystusa.” [2]

W końcu wrzucono Floriana do „rzeki Anizus, a działało się to w mieście Laureak.” Ale jak utopili?!

– Szedł – powiada dziejopis – Florian wesoło, radując się, iż wkrótce już w Niebie odbierze nagrodę swojej śmierci męczeńskiej, a gdy na most nad rzeką będący, z którego zrzucić go mieli, przybyli, uwiązali mu wielki kamień u szyi. Zaś sługa Boży ukląkł i prosił, aby przez chwilę dozwolili się pomodlić, na co poganie zgodzili się. Wtedy wpadł w zachwycenie, a że się przedłużało, a kaci nie śmieli przerwać mu tak cudownej modlitwy, jeden z obecnych przeskoczył do niego, i wyrzucając oprawcom opieszałość w spełnieniu danego im rozkazu, sam go z mostu w rzekę zepchnął. Lecz wnet poczuł nad sobą karzącą rękę Boską... i tak dalej i tak dalej.

Florian „szedł wesoło”! Co najwyżej, po takim potraktowaniu mogli go co najwyżej transportować na sanitarnej taczce!

Zgodnie z regułami katolickiej interwencjologii boskiej, stojącego jak zwykle z opóźnieniem w obronie swoich wiernych wyznawców, oprawca poniósł zasłużoną karę. Na zakończenie opisu jego śmierci, czytam, że zwłoki wypłynęły na powierzchnię gdzieś bardzo daleko od miejsca utonięcia, i że nawet „nadzwyczajnej wielkości orzeł”, zamiast się do nich dobrać, „strzegł je od innego ptactwa i dzikich zwierząt.” Jak długo, klerykalne źródła nie podają.

Jakkolwiek Floriana wrzucono do wody z obciążnikiem, czyli młyńskim kamieniem u szyi, rzeka wyrzuciła jego ciało na stały grunt. Milczą natomiast kroniki co do owego kamienia: z czy bez niego wyrzuciła jego zwłoki. Po chwili pojawił się olbrzymi orzeł i strzegł resztek Floriana, ale też nie wiadomo jak długo.

Dalej to już klasyka katolickich objawień. Pobożna niewiasta, imieniem Waleria, ma senne widzenie jego śmierci i otrzymuje rozkaz, aby ciało przewiozła na bezpieczne miejsce i sprawiła chrześcijański pogrzeb. Zrobiła co nakazało jej objawienie,

jednak w drodze do zamierzonego miejsca, dwa białe woły, które ciągnęły wóz z Florianem, nie chcą iść dalej z powodu upału i dręczącego ich pragnienia. Zrozpaczona klęka więc na środku skalistej, górskiej drodze i modli się o ratunek. Nagle z przydrożnych skał, podobnie jak u Mojżesza, tryska niespodziewanie źródło wody. Spragnione wody napiwszy się do syta, dalej ciągnęły wóz z Florianem. Waleria szła tuż obok i błogosławiła wodę, którą zesłał z nieba (już święty) patron.

Co ciekawe, św. Florian należy do radosnych i pogodnych świętych. Nastroj, jaki go otacza, nie jest ponury.

Jedyny ptak, jaki jemu towarzyszy na malowidłach rozpowszechnionych w Polsce, to bocian, siedzący w gnieździe. Mamy tu kolejny dowód synkretyzmu wierzeniowego, gdyż ów bocian u przedchrześcijańskich Słowian-Polaków, był ptakiem chroniącym zabudowania przed niszczycielskim ogniem.

Tylko tyle „faktów” o Florianie! Jego śmiertelna przygoda z wodą wystarczyła, aby został patronem strażaków i profesji mających pośredni związek z ogniem.

Tradycja niesie, że jeden z pierwszych cudów, jaki zdarzył się po jego śmierci, było uratowanie zagrody jakiegoś ubogiego wieśniaka od spalenia, lub też, że pewien węglarz za przyczyną świętego uratował się z pieca, do którego przez przypadek został wtrącony.

Właściwie patronem strażaków powinien być św. Wawrzyniec, i faktycznie nim był, ale przelicytował go Florian. Wawrzyniec, zgodnie z katolicką normą został wpierw umęczony, a następnie spalony na rusztowaniu. Z czasem te dwie postacie zatarły się w pewnym stopniu, a w tradycjach plebsu zlały się w jedno i tracąc swój odmienny charakter, całkowicie przeniosły się na osobę Floriana.

Według legendy, św. Florian sam chciał przybyć do Polski. I przybył, ale w kawałkach. Jest patronem katedralnego kościoła na Wawelu.

Biskup Radoński pisze, że to nie są autentyczne resztki Floriana, tylko kogoś innego, o tym samym imieniu. Ale co tam! Nie ważne, skóra i kość, ale katolicki gość!

Nie wiadomo skąd tak nagłe zainteresowanie św. Florianem wykazał książę Kazimierz II Sprawiedliwy (1177-1194), który wyjednał u papieża Lucjusza III (1181-1185) jakieś doczesne resztki, będące jakoby pozostałościami po świętym Florianie. Do Krakowa przywiózł je w 1183 lub 1184 r. niejaki Idzi, biskup Modeny.

Ulokowano je na przedmieściu miasta (Kleparz), a następnie wszystko (kościelne źródła są tu sprzeczne) lub część, przeniesiono na Wawel.

Resztki imieniem św. Floriana stały się relikwiami, a on został patronem strażaków, a ściślej patronem od klęsk ognia, dlatego, że mieszkańcy Krakowa w obronie przed czerwonym kurem doznali wielu jego cudownych interwencji.

Między innym odnotowano, że za wstawiennictwem tego świętego, woda z Wisły, chociaż nie poświęcona, gasiła ogień, co niewątpliwie budziło niekłamany podziw mieszkańców miasta, oraz ich niezachwianą wiarę w swojego opiekuna!

Kiedy w 1528 r. pożar strawił tę dzielnicę miasta, i na Kleparzu ocalał tylko kościół, dało to asumpt do czczenia św. Floriana, jako patrona klęsk pożaru, sztormu i powodzi. Poza tym jest patronem Austrii, Polski (nieco zapomniany) (Bolonii i oczywiście, Krakowa.

Ale Florian nie działa wszędzie! Kiedy palił się jasnogórski klasztor, narodowa siedziba maryjnego biznesu, paulini na własnej skórze odczuli skutki braku kompetentnego patrona chroniącego od ognia, nie mówiąc o braku interwencji niebiańskiej straży ogniowej.

W takich razach, mnisi brali źródło swojego radosnego dochodu oraz nogi za pas i taktycznie uchodzili za mury klasztoru.

Na zakończenie godzi się przypomnieć inne wydarzenia, mające związek z wodnym tematem.

Kiedy biskup krakowski, Bodzanta w 1349 r. rzucił klątwę na Kazimierza III Wielkiego (1333-1370) m.in. za ukrócenie samowoli wielmożów i kleru wobec chłopów, cwany biskup wysłał głupkowatego księdza Baryczkę do króla z treścią klątwy. Ale Kazimierz kazał utopić delegata Bodzanty w wiślanej przerębli i tyle przejął się klątwą biskupa-intryganta.

Nieśmiało proponuję na świętego patrona komisariatów wodnych policji lub odratowanych topielców, ks. Papczyńskiego z epoki stanisławowskiej. On najbardziej byłby tu odpowiedni. Topiła się jego babka, dwa razy tonęła matka mając go w łonie, a wreszcie sam Papczyński topił się kilka razy.

Autor: Bogdan Motyl

Źródło: [Alternatywa](#)

PRZYPISY

1. Być może również i on byłby coś zdziałał w swoim rzemiośle świętego, gdyby przed laty Watykan nie wykreślił go z oficjalnej listy obecności w niebie. Jednak w polskim katolicyzmie św. Krzysztof funkcjonuje nadal i posyła na łono Abrahama m.in. kretynów będących zwolennikami nadmiernej prędkości.

2. Święci chrześcijańscy cechowali się wyjątkową odpornością na wszelkie cierpienia fizyczne. Gdzie tam Jezusowi do nich! Katolickie niebo przepełnione jest bezzębnymi rekonwalescentami, poturbowanym elementem i zgwałconymi dziewczycami.